

Listy krewnych i listy od przyjaciół rodziny. Czytałam je w latach dziewięćdziesiątych po śmierci ojca, jako tako je sortując. Żywoty, do których kluczem jest śmierć, o nic nie prosiły. A jednak pojękiwały. Skarżyły się. Wszyscy nieżywi.

Nie dlatego, że żalą się w listach, ale ponieważ ich życie przeminęło, a jednak – takie niedokończone. Kiedyś zostali ściśnięci, niczym gałęzie wysokich drzew niedostrzegalnie pocierające o swoje korony, jak te tu, przed starym domem w archipelagu.

Nasłuchuję, gdy nad ranem ściągam ze sznurka ręcznik. Brzmi melancholijnie. Nieco bezradnie. Jest dziesiąty sierpnia, mój ojciec skończyłby dziś sto lat, gdyby żył. Siedzę w dawnym pokoju dziecięcym ciotki Ricki, jest maleńki, z widokiem na zbocze ku cieśninie. Od kiedy byłam dzieckiem, drzewa bardzo urosły. Na dole, przy pomoście stoi wykręcona sosna.

Jest staruszką, która niebawem umrze, ale nadal wyciąga grube ramię w stronę wodnego lustra. Jakies dziecko

mogłoby się tam położyć i czytać, jak w angielskiej książce pełnej tajemnic.

Spokojnie. W cieśninie ani jednej żaglówki.

Chciałabym zrozumieć, co się wydarzyło. I w jakiej kolejności. Wydobyc z pamięci. Wszystkie pytania bez odpowiedzi. Kim byliśmy? Czym jest miłość? Chyba trochę miłości musi zostać, skoro kiedyś istniała?

W przeciwnym razie wszystko jest śmiercią i obojętnością.

Pamięć to oczywiście oszust. Pływam w ciepłej sierpniowej wodzie. Ona, która kiedyś była mną, dziecko, dziewczynka, pojawia się w oddali, jak w odwróconej lornetce. Podobnie cała reszta. W oddali. Jak zastygłe fotografie. Pamiętam zdjęcie Ricki w wieku szesnastu lat. Szczupłe, żylaste ciało.

Siedzi na ogrodowym krześle na podwórku, ma na sobie kostium kąpielowy, na włosach ręcznik. Spogląda na wodę i na sosnę, jeszcze pełną wigoru. Jakby intensywnie o czymś myślała. Sprawia takie wrażenie na wielu zdjęciach.

Na większości z nich jeszcze się nie urodziłam. Kiedy miałam dwadzieścia lat, odwiedziłam Ricki w Szpitalu Południowym, z przystanku autobusowego wyglądał jak zamek. To ostatni raz, kiedy ją widziałam. Przed wizytą miałam nocować w jej mieszkaniu przy Drottninghusgränd.

Było tam duszno i mdło od letniego upału. Pamiętam, że otworzyłam okna i odsunęłam firanki.

Że uklękłam przed regałem z książkami.

Bergson. Freud. Nietzsche. Schopenhauer. Spinoza. Książki Ricki. Nikt inny w rodzinie nie czytał takiej literatury. Pościeliłam łóżko, w którym miałam spać, wąskie łóżko synka Ricki. Obok leżały komiksy z Kaczorem Donaldem, w uporządkowanych stosach. Nie mogłam zasnąć. Pamiętam, że próbowałam się onanizować.

Przedsiębiorczo. Systematycznie. Nie byłam dziewicą, ale czy kiedykolwiek udało mi się jak w *Komu bije dzwon* Ernesta Hemingwaya? Tam trzęsie się cała ziemia.

Istniały dwa równie silne i przeciwne impulsy. Ulec, powstrzymać się. Dać się ponieść, opanować. Poczulałam, że to nie do zniesienia, poddałam się. Przeciwno onanii przemawiała głównie samotność. Jakby człowiek mocno ją sobie wtedy uświadamiał. Istnienie składało się z niezwiązanych części, które trzeba było dopasować, ułożyć w fazy, skonsolidować.

W łazience napiłam się wody.

Nie wiedziałam nic o człowieku, którego oczy napotkałam w lustrze. Bardzo niepewna, czy mi się podobał. Niekoniecznie. Nic nie rozumiałam. Nie miałam bladego pojęcia. Pragnęłam tylko trzech rzeczy. Być wolna, piśać i dostać orgazmu. A potem, dużo później, być może mieć dziecko.

To ostatnie leżało w tak odległej przyszłości, że zdawało się iluzoryczne. Niepokoila mnie wizyta w szpitalu. Próbuję przypomnieć sobie Ricki, ale pojawiają się tylko ja. Czy raczej ona, dziewczynka.

Ciotka Ricki była architektką. Przez długi czas pracowała w kooperatywie budowlanej HSB. Moje pierwsze wspomnienie związane z nią - kiedy to było? W czasie wojny nieznamą młoda ciotka przyjechała w odwiedziny do Lundu. Pamiętam, że mówiła po sztokholmsku.

*Koń je zieloną trrrawę.*

Musiała to powtarzać; za każdym razem równie zabawne. W jednym z listów - ale do tego dojdziemy później - jest napisane, że ojciec zdjął obrączkę w 1948 roku, potem starał się tylko jakoś wytrzymać w małżeństwie. Czy to prawda?

Prawdopodobnie. Ale było za późno. Mieli troje dzieci. Od tego mojego pierwszego wspomnienia z Ricki do 1948 roku minęły tylko cztery lata.

Wróciliśmy z Ameryki późną jesienią. Święta spędziliśmy u dziadków. Apartament, służbowe mieszkanie profesora, pamiętam niewyraźnie, jakby w półmroku. Na stole znaj-

dował się srebrny dzwoneczek, za pomocą którego wzywano się służącą (której już nie było, ale dzwoneczek został).

Wymuszona rozmowa. Nikt nie przejmuje się dziećmi.

Gwiazdkowe prezenty rozdaje się w pomieszczeniu nazywanym biblioteką. Dym cygara i kwaskowaty zapach mydła idący z długiego korytarza. Ściany pełne książek, skórzane meble. Wszystko jak na czarno-białej fotografii. Tylko Ricki jawi się w kolorach: to z powodu wspaniałego podarunku od niej.

Błyszcząca skrzyneczka wynurza się z opakowania. Na czerwonym wieczku widnieje czarodziej w czarnej pelerynie, rękawiczkach i w wysokim kapeluszu. W skrzyneczce znajdują się tajemnicze przegródki: pudełko z kulkami, różdżki i sześciiany, talia kart, kostki i sznurki, jedwabna szarfa, która znika i wydłuża się. Jest to tak oszałamiająco magiczne, że dziewczynka traci oddech.

Ćwiczy magiczne sztuczki w kuchni w Årscie. W nowym mieszkaniu wszystko jest obce. Silne światło z zewnątrz pada stromo. Z czasem zaczyna zamieniać mały sznurek w naszyjnik ze zwisającymi kulkami. Rozkazywać kostkom, by zatrzymały się szóstką do góry. Wywoływać ukryty napis na białym papierze.

To podnosi na duchu, łaskocze w brzuchu. Daje moc.

A Ricki, która wymyśliła ten podarunek właśnie dla niej i wie coś na temat tajemnicy przemiany, otoczona jest potem szczególną magią.

Nowo wybudowany wieżowiec. Dziadkom udało się załazić mieszkanie, kiedy oni byli w Ameryce, w przeciwnym

razie nie mieliby gdzie mieszkać po powrocie. Z balkonu na siódmym piętrze widać nagą skałę i zmarzniętą sosnę. Przedmieście to wciąż plac budowy, pusto tu, spore odległości między budynkami. Dziewczynka ma osiem lat.

Skulona na kanapie w kuchni pilnie ćwiczy wywołanie ukrytego napisu za pomocą magicznego zaklęcia. Mama chce pomuzykować w spokoju. Ona ma za zadanie zwieźć młodsze rodzeństwo windą. Ta zatrzymuje się nieznośnie wolno.

Na dworze otaczają je - ją, Ninne i Ię - nieprzyjazne bachory. Zimne, świdrujące oczy. Nikt nic nie mówi. Mały blondynek doskakuje do nich, przerywając ciszę. *Śmierdzą sikami kota*. Dzieciaki śmieją się, po czym znikają. W jednej chwili jakby zapadły się pod ziemię. Plac zabaw jest pusty. Przesiane światło i ślepe korpusy budynków. Nie zostają długo na huśtawkach. To, co się wydarzyło, zniechęca je.

Co więcej: strach. Ona i Ninne, sześciolatka, zaczęły chodzić do szkoły w Årscie. To spory kawałek. Idą blisko siebie. Za nimi chichoczące wyrostki rzucają przewiskami. Mają nie takie ubrania jak trzeba: amerykańskie płaszcze i apaszki.

Pada śnieg. Cały czas pada śnieg, z ukosa, do tego wieje.

Wyasfaltowane podwórko szkolne roilo się od nieznanomych dzieci. Dlaczego nie przemilczała Ameryki? Teraz myślą, że się przechwała. Podobnie jej czerwony tornister, pachnie wyższością. I ten język, zaciąga po skańsku i amerykańsku. Błaga mamę o czapkę z angory. Większość dziewczynek takie ma. To wełniane czapki z osłonką na

uszy przymocowaną drucikiem. Niebieskie albo różowe, pożądane.

Mama nie okazuje zrozumienia.

Jest zaopatrzona w beret, tak jak Ninne. Głupie nakrycie głowy, które mama akurat lubi. Gustaw Waza, wołają dzieci na podwórku szkolnym za królem w berecie z dnem jak okrągły sucharek. Najchętniej w ogóle nie chodziłaby do szkoły, ale musi. Wtedy czarodziej jest jej sprzymierzeńcem, podarowuje jej pojazd, który zabiera ją z okna w kuchni i sadza w szkolnej ławce.

Podobnie wygląda powrót do domu. Dzięki temu nie musi z nikim rozmawiać. Loty do szkoły i z powrotem odbywają się z zawrotną prędkością. Leci nad skałami i nad wodą, ostro zakręca nad lasem i znów nad wodą. Czy się wywyższa? Nie. Jest związana strachem.

Jest semestr letni w trzeciej klasie szkoły podstawowej, to jej czwarte spotkanie z nową gromadą uczniów. Od dawna wie, jakie to uczucie, gdy stoi się samotnie przed obcymi, wrogimi oczami. Dzieci w Årście są jak dotąd najgorsze.

Chodzi sama po szkolnym podwórku. W kieszeniach mocno zaciska dłonie. Bardzo się boi. Wspomnienie jest silne.